

OBROŃCY AHURY

Mateusz R. M. Rogalski



Pasowanie

Mateusz R.M. Rogalski

Obrońcy

Ahury

Pasowanie

Tytuł: Obrońcy Ahury. Pasowanie

Copyright © Mateusz R.M. Rogalski

Redakcja: Była_

Korekta: Dorota Braziuk i Grzegorz Grabski

Wszelkie prawa zastrzeżone, a jakkolwiek przedruk oraz kopiowanie całości bądź fragmentów książki (z wyjątkiem cytatów w artykułach i przeglądach krytycznych), możliwe wyłącznie na podstawie pisemnej zgody autora.

ISBN 978-83-955698-0-7

Ilustracja okładki i grzbietu: Dominika Szewczyk

Projekt okładki i ilustracje: Maciej „Dziarski” Lebdowicz

Ilustracje map: Patrycja Braziuk

Wydawca:

Mateusz R.M. Rogalski

mateusz.r.m.rogalski@gmail.com

Skład DTP: Studio Grafpa, www.grafpa.pl

Druk:

Totem.com.pl Sp. z o.o. Spółka Komandytowa

www.obroncyahury.pl

www.facebook.com/obroncyahury

www.instagram.com/mateusz.r.m.rogalski_pisarz

*Chwała wszystkim Obrońcom Ahury!
A zwłaszcza:*

*DOROTCE
gdyby nie TWA miłość, byłaby to co najwyżej książka*

*JERZOWI (MG)
mistrzowi mistrzów*

*ANERAZOWI (Miltez Regalia)
za nieprzespane noce*

*EWELINIE (Klaudia Gevier)
za uśmiech*

*JOLI (Shu – Eleonora van de Sark)
za gadzeczarstwo*

*MŁODEMU (Vissen von Osterlów)
bratu z braci mych najlepszemu*

*RAVENOWI (Albert van de Sark)
gra z Tobą to czysta przyjemność*







ROZDZIAŁ I

ODRODZENIE

ZA BEZMIAREM Błękitu wszystko było ociężałe. Grubi i niezgrabni rycerze, w swoich za dużych zbrojach, z niepotrzebnie wydłużonymi sejmitarami, nazywanymi mieczami. Pulchne damy w za ciasnych strojach, nieporadne jak muchy w miodzie. Toporne i brzydkie zamki wyróżniające się jedynie brakiem fantazji. Cała Ahura wydawała się być wielkim, opasłym i bezkształtnym księstwem.

Nawet tutejsze zwierzęta były jakieś przerośnięte i ospałe, a już w szczególności konie. Niby kare, ale jakby wyblakłe, bez połysku. Niby dorodne, ale krępej budowy o dziwnie spuchniętych udach. Jechaliśmy na takich czwarty dzień, a mimo to wciąż nie było widać celu. Na koniach z Dahaku już dawno bylibyśmy na miejscu. W całym Górnym Hakonie nie było i nie będzie tak szybkich i porywistych rumaków jak *dahackie ruzgary*.

Znacznie bardziej od tych koni denerwowało mnie moje uczestnictwo w tej wyprawie. O ile można było to nazwać wyprawą. I niby jaki był jej cel? Zaraz po powrocie będę musiał podziękować wielkiemu Ulathowi Jearsenowi za to, że mnie do niej zgłosił na ochotnika. *Pojedziesz – poinformował. – Jesteś tutaj nieznanym, a to doskonała możliwość wykazania się i zdobycia uznania.* Przyznać muszę, że wdzięczny mu byłem za opiekę i pomoc w ucieczce z Dahaku oraz przewiezienie mnie na swej łodzi przez Bezmiar Błękitu. Jednakże zmuszenie mnie, bym gnał na złamanie karku nie wiadomo gdzie, z towarzyszącą mi drużyną, było dużą przesadą z jego strony.

W dodatku co to za drużyna! Hrabia Bevier galopujący na przedzie ze swoimi dziesięcioma wojami – wyglądali niczym stado świń dosiadających krowy z grzywami. Tuż za nimi banda przebierańców przypadkowo zebranych na postrzyżynach syna diuka Edwarda von Horna. Lady Shu, wysoka kobieta o męskiej postawie: szerokie barki zakute w stalową zbroję, specjalnie przystosowaną na jej przerośnięte ciało. Z tyłu chłop, z przodu smok. Tuż za nią Miltez, postać w za dużych szatach, bez wyrazu i z niezrozumiałą dla mnie przydatnością. Obok niego pani Klaudia, jego nałożnica, podobno z ukrytymi talentami, aczkolwiek chyba tylko Miltezwowi było dane zajrzeć tak głęboko, by je odkryć. Tylną straż tworzyłem ja, wraz z młodzikiem każącym mówić do siebie lord Vissen, oraz rycerzem-kapłanem. Vissen był mego wzrostu, jednakże – jak na tutejszego przystało – masywniejszej budowy. Natomiast Albert, tak jak i inni jego pokroju twierdził, że służy jednemu słusznemu bogu, w tym przypadku Adunowi. Jakby to miało znaczenie, któremu z bóstw służysz. Po kształtach zbroi można było poznać, że jest rośli i zbity. Nie miał jednak postury noradzkich wojowników, a i z pewnością ustępował im też siłą.

W czym ta zbieranina miałaby pomóc hrabiemu Bevierowi? Przecież gdy tylko dojdzie do jakiejś jatki, to cała ta trupa wędrowna pryśnie niczym stado myszy na widok jastrzębia. Co wcale nie byłoby złym pomysłem, gdyż na polu bitwy z pewnością tylko by zawadzali.

Miałem nadzieję, że zabawa w ściganie wrogów diuka Edwarda szybko się zakończy. Z wielką przyjemnością wróciłbym już do jego zamku, a w szczególności do margrabiny Diany. Spośród wszystkich dam zaproszonych na postrzyżyny tylko ona zasługiwała na miano damy. Jako jedyna potrafiła poruszać się z gracją i wdziękiem, a w tańcu zdawała się unosić nad salą balową niczym poranny wiatr nad pustynnymi piaskami. Nic dziwnego, że otaczała ją szarańcza amantów lgnących do jej urody. Chyba jeszcze nie raz przyjdzie mi się zmierzyć z jej zazdrosnymi adoratorami. O ile oczywiście raczy na mnie poczekać do czasu zakończenia tej bezcelowej wyprawy.

Kiedy ja wspominałem margrabinę Dianę, hrabia Bevier wraz ze swoimi prosiaczkami zwolnili. Słońce dopiero chyliło się ku zachodowi, jednakże tu, w gęstym lesie, panował już półmrok.

– Ktoś nas obserwuje – oświadczyła Klaudia.

Zaczęła spowalniać, dając się dogonić ostatnim członkom drużyny. Jej puciołowata twarz wydawała się teraz jeszcze bardziej okrągła. Rozwarła usta, a niebieskie oczy rozszerzyły się do granic swych możliwości. Spod obcisłej, brązowej tuniki dało się dostrzec szybkie falowanie piersi. Była przerażona, a mimo to cały czas bacznie przyglądała się Miltezewi.

W chwili, gdy mnie mijała, poczułem się nieswojo. Oddech zamarł mi w gardle, a po mym ciele przebiegły dreszcze, jak gdybym wszedł do wilgotnej celi przesiąkniętej spleśniałym strachem. Pomimo ciepłego wieczoru odczułem wyraźny chłód. W dodatku dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że cały las zatopiła cisza. Do mych uszu nie dobiegał żaden leśny szmer, zupełnie jakby wszystko zamilkło. Krzaki i liście kołysały się bezszelestnie na wietrze, który wiał jakoś tak bezgłośnie. Jedyne, co dało się słyszeć, to chrapanie wystraszonych koni, które zaczęły nerwowo potrząsać łbami.

Niepewnie rozejrzałem się dookoła. Zdawało mi się, że w głębi lasu dostrzegam postać. Między drzewami, na karym koniu siedział rycerz z głową skierowaną wprost na mnie. Siedział i patrzył. Ubrany był w czarną zbroję bojową, a twarz zakrywał mu hełm z czarnym pióropuszem. Z jego ramion zwisało długie, ciemne, zwierzęce futro. Do boku konia miał przyczepioną tarczę z herbem przedstawiającym trzy wilcze głowy na srebrnym polu.

Spojrzałem na mych towarzyszy, ale zdawało się, że nikt poza mną go nie widział. Odwróciłem się w stronę czarnego rycerza i w ostatniej chwili udało mi się dostrzec, jak znika za drzewami. Byłbym w stanie przysiąc, że nie odjechał gdzieś w las, lecz dosłownie zniknął mi przed oczu. W tym samym momencie las ożył. Ponownie dało się słyszeć odgłosy zwierząt, a dźwięcznie szumiący wiatr nie był już tak chłodny.

Wszyscy przystanęli.

– Przeklęty zamek i przeklęta ziemia! – Hrabia Bevier splunięciem przerwał nasze milczenie. – Jesteśmy już niedaleko od siedziby Ordeitów. Jeżeli się pośpieszymy, dojedziemy do niej przed nocą. Niestety nie mogę zagwarantować, że noc tam spędzona będzie bezpieczniejsza od nocy spędzonej w tym lesie. Zamek Ordeitów w swej historii posiada kilka popieprzonych i niezwykle krwawych historii. Jedźcie dwójkami i bądźcie czujni.

SŁOŃCE chowało się za horyzontem, kiedy wyjechaliśmy z lasu. Kamienista droga wijąca się między polami prowadziła wprost ku wzgórzom. Na jego szczycie, na tle czerwonego nieba majaczyła ciemna, foremna bryła. Siermiężny zamek opleciony był prostym murem oraz zarośniętą fosą.

Po przekroczeniu rozwartej bramy, wjechaliśmy na przedzamcze. Stanowiła je niewielka wieś z kilkoma sypiącymi się domkami. Nawet przy świetle pochodni dawało się dostrzec, że wszystkie zabudowania wyglądały tak, jakby od dłuższego czasu nikt ich nie zamieszkiwał.

Mur wewnętrzny otaczający zamek miał kształt ośmiokąta, a brama wjazdowa znajdowała się w jednym z ośmiu topornych bastionów. Kiedy do niej podjechaliśmy, wrota zaczęły się otwierać. Tuż za nimi stał przygarbiony starzec. Ubrany w podziurawioną brązową tunikę oraz szare spodnie z wyróżniającym się ciężkim łańcuchem szambelana.

– Wejdźcie z własnej nieprzymuszonej woli, pan zaprasza. – Ukłonił się, ręką wskazując dziedziniec. Dopiero gdy podjechałem bliżej, w blasku pochodni dostrzegłem, że jego oczy były pokryte bielmem.

W samym środku wewnętrznego dziedzińca wybudowano masywny ośmiokątny zamek. Jego narożniki stanowiły naprzemiennie wysokie wieże z niskimi bastionami. Wszystko to charakteryzowało się brakiem jakiegokolwiek smaku i śmiałości.

– Czujcie się jak u siebie w domu. Zamek jest do waszej dyspozycji – zapewnił ślepiec stojący na schodach przed głównym wejściem do zamku. – Prywatne komnaty lorda Arlata Ordeity znajdują się

w wieży północnej i tam proszę nie wchodzić bez zaproszenia. – Wskazał wieżę najbardziej oddaloną od wejścia. – Zaprowadzę was do komnat, gdzie będziecie mogli odświeżyć się przed kolacją. Jedzenie będzie podane w głównej sali, gdy wszyscy już się tam zbierzecie. Wtedy też spotkacie się z panem tego zamku. – Kiedy skończył mówić, zniknął w półmroku zamkowego korytarza.

– Ja i moi ludzie zostaniemy tutaj – oznajmił hrabia Bevier. – Prędzej zaufałbym ladacznicy z Rede aniżeli ślepcowi zapewniającemu mnie o bezpieczeństwie w opuszczonym zamku. Przeszukajcie to zamczysko i przekazcie temu pokrace, by przyniósł posiłek dla jedenastu ludzi do tej szopy. – Skinął na budynek po lewej stronie bramy. Następnie wydał rozkazy swoim ludziom: – Rozsiodłać konie i znaleźć im coś do jedzenia.

Shu również postanowiła nie wchodzić do zamku, tłumacząc się niechęcią do wąskich i ciemnych pomieszczeń.

– Czuję, że tam w środku mieszka upiór – oznajmiła Klaudia, przybliżając się do Milteza.

– Jak chcecie, to wszyscy możecie tu zostać. Ja zamierzam się wykapać, a potem porządnie najeść. – Nie zastanawiając się dłużej, przekroczył próg zamku.

Niski i wąski korytarz oświetlany był przez pochodnie wiszące po bokach. Ciężkie i wilgotne powietrze mieszało się z dziwnie nieprzyjemnym zapachem. W odległości kilku metrów od wejścia czekał starzec.

– Panowie zechcą zająć cztery komnaty w korytarzu po lewej – poinformował ślepiec. – Kolacja, na którą mój pan was zaprasza, będzie podana w Sali Chluby. Znajduje się ona na samym końcu tego korytarza. – Po tych słowach skierował ślepe oczy w stronę Klaudii. – Wolą lorda Arlata Ordeity jest, bym przygotował komnatę dla lady na pierwszym piętrze. Proszę za mną. – Gdy starzec się odwrócił, Klaudia z niepokojem w oczach spojrzała na Milteza. Ten uspokoił ją kiwnięciem głowy, po czym sam oddalił się w stronę przydzielonych nam komnat.

– Jeśli to nie kłopot dla pana tego zamku – zdążyłem wtrącić nim się rozeszliśmy – proszę dostarczyć posiłek dla dwunastu ludzi

do budynku przy bramie. Nie wiem, czy uda im się znaleźć jakieś pożywienie dla koni, także prosiłbym również, by i o to zadbano.

– Wszyscy zostaliście zaproszeni na poczęstunek, zatem wszyscy go otrzymacie – odrzekł starzec, wolno wspinając się po schodach.

W Dahaku widywałem ładniejsze zagrody dla koni aniżeli komnata, którą mi przydzielono. Ciemne i niskie pomieszczenie posiadało jedynie jedno niewielkie okno. Na jednej ze ścian zawieszono lampę oliwną, a pokrywająca ją warstwa kurzu wskazywała, iż od dawna nie była używana. W pokoju znajdowało się niskie biurko, brzydki obraz i wąskie łóże. O dziwo, tuż obok łóżka stała balia napełniona gorącą wodą. Ciepła kąpiel oraz spokojna noc przespana w łóżku były tym, czego pragnąłem w tej chwili najbardziej.

Po długiej i przyjemnej kąpieli wyszedłem na korytarz. Tuż po mnie pojawił się Miltez, a następnie Albert i Vissen.

– Jakieś spostrzeżenia bądź uwagi przed spotkaniem z lordem Ordeitą? – zapytałem szeptem, by me słowa nie wpadły do nieodpowiednich uszu. – Zapewne zauważyliście, że w tym zamku wszystko jest dziwne? Od opuszczonego przedzarcza zaczynając, a na ślepym szambelanie kończąc. I, na Życiodajne Strumienie, jestem pewien, że to nie koniec niespodzianek na dzisiaj.

– Po tym wszystkim, co się wydarzyło na postrzyżynach syna diuka Edwarda von Horna, dziwi mnie sposób, w jaki zostaliśmy tu przyjęci. Wydaje mi się, że musimy wypytać lorda Ordeitę o prawdziwy powód jego wyjazdu z postrzyżyn oraz o zdobyć wszelkie informacje związane z jego bratem – doniosły głos Alberta rozszedł się po korytarzu. Najwidoczniej jego zakon nie zezwalał na szept i spiskowanie.

– Klaudia wyczuła w tym zamku obecność upiora, czyli nieumarłej istoty i wątpię, by znajdowała się ona tutaj bez wiedzy pana tego zamku – wtrącił Miltez. – Powinniśmy być czujni i uważać zarówno na to, co mówimy, jak i co jemy.

– Wybacz Miltezie, ale mnie w to nie mieszaj. Ja nie zamierzam pościć. Od czterech dni jemy suchy prowiant i popijamy go wodą. Marzy mi się kawałek soczystego mięsa i kielich dobrego

wina. – Osobiście nienawidziłem pościć. Kojarzyło mi się to z dzieciństwem, kiedy ojciec rozpoczynał handel winem i nie zawsze mieliśmy w domu co do garnka włożyć.

– Zatem wyjaśnione – wtrącił Vissen – Lord Albert van de Sark porozmawia z lordem Ordeitą, kiedy ja będę pilnował drzwi. Miltez będzie nas ochraniał przed swymi zwidami, a nasz towarzysz z za wielkiej wody sprawdzi, czy potrawy nie są zatrute.

– A jaką rolę zaplanowaliście dla mnie? – spytał kobiecy głos.

Odwrociłem głowę w stronę schodów, u szczytu których stała Klaudia. Krótkie, ciemne włosy miała spięte tiarą zdobioną srebrnymi kwiatami. Koronkowy kołnierzyk zasłaniający tylną część szyi schodził aż do kwadratowego dekoltu, gdzie na cieniutkim łańcuszku wisiał kryształowy kwiat. Długa suknia koloru perłowego, wykończona białą koronką, swobodnie spływała po stopniach schodów. Nad biodrami przepasana była rycerskim pasem z białej skóry z wytłoczonymi roślinnymi motywami. Do pasa przypięła miecz ze zdobioną głownią, na której swobodnie opierała rękę.

– Klaudia... ale skąd... jak?

– Miltez, szanowna pani, chciał powiedzieć, że wyglądasz bajecznie niczym bujna oaza na środku bezkresnej pustyni – wtrąciłem, wykorzystując zaskoczenie jej partnera. – Twa rola, pani, będzie polegała na tym, byś swą urodą mąciła umysł lorda Ordeity. Zatem zapraszam cię wraz ze mną do stołu, przy którym zajmujemy honorowe miejsca.

W blasku pochodni ledwo dostrzegłem rumieniec, jaki pojawił się na twarzy Klaudii. Ukłoniła się skromnie, po czym spoglądając w stronę Milteza ujęła dłoń, którą wyciągnąłem w jej kierunku.

– Obycie z kobietami, tak jak i każda wiedza, wymaga dłu-goletniej nauki. – Słowa te wypowiedział stojący za mną Vissen, drwiąc z wciąż zaskoczonego Milteza. – Jak widać pan Aris, pomimo młodego wieku, w tej dziedzinie posiada wysoki stopień wtajemniczenia.

Wraz z Klaudią jako pierwsi weszliśmy do dużej, półokrągłej sali. Panował w niej zaduch i półmrok, rozświetlany jedynie

blaskiem światła bijącego od ognia w kominku. Ściany były ozdobione naprzemiennie dużymi arrasami przedstawiającymi sceny bitew lub polowań oraz portretami. W tych ciemnościach trudno było rozróżnić, które przedstawiały lochę w lesie, a które knura przy stole. Na środku sali stał suto zastawiony długi stół, którego jeden koniec niķ w ciemniejszej części sali.

Lord Arlat Ordeita stał przy kominku, tyłem do nas. Z jego szerokich pleców aż do samej podłogi zwisała zielona peleryna. Na za małą, srebrzystą koszulę z bufiastymi rękawami do łokci założył popielatą kamizelkę. Do pasa miał przypięty długi miecz. Noga-wice szarych spodni znikwały w wysokich butach ze srebrnej skóry. W prawej dłoni z herbowym sygnetem trzymał złoty puchar.

– Witajcie. Niezwykle rad jestem z wizyty tak znakomitych gości.

Cichy, ochrypy głoś rozszedł się echem po sali. Lord Ordeita wpatrywał się w blask płomieni i nie raczył nawet odwrócić się w naszą stronę.

Odprowadziłem Klaudię do stołu i zająłem miejsce po jej prawej stronie. Usiedliśmy bliżej kominka, dzięki czemu jako jedyni nie znajdowaliśmy się w półmroku. Albert i Miltez usiedli po drugiej stronie stołu, a stojący za ich plecami Vissen bacznie przyglądał się lordowi Ordeicie.

W mojej rodzinie każdy od najmłodszych lat miał styczość z winem. Ojciec, niechaj mu będzie dane miejsce przy brzegu Źródła Wiecznego Szczęścia, kochał wino i w nas również starał się zasiać ziarno tej miłości. To właśnie dzięki rodzinnemu zamiłowaniu do trunków wypatrzyłem jedną z butelek znajdujących się na stole. Miała wydłużony kształt i spiralną szyjkę, co oznaczało, że mogła być zapełniona wyłącznie jednym rodzajem trunku. Espeljan – wino z barrakańskich winnic – od lat rozlewano do butelek o jednolitym kształcie. Nalewając je Klaudii, natychmiast dostrzegłem charakterystyczne dla tego trunku fioletowe połyski przebijające przez jego karmazynową barwę. Każda, choćby najmniejsza zmiana w składzie tego wina, jak i dolanie do niego wody bądź trucizny, spowodowałyby utratę tego szczególnego połysku.

– Nam również jest miło, lordzie Arlacie Ordeito – odpowiedział Albert, przygotowując się do roli wyznaczonej mu przez Vissena.

– Czyżby?

W głosie lorda Ordeity można było wyczuć lekką pogardę.

– Masz rację, lordzie, po co ta cała maskarada? – zapytał zdenierwowany Miltez.

Dokończywszy pić, lord Ordeita stanął do nas bokiem. Był młodszy od brata, który zmarł na postrzyżynach. Krótkie ciemne włosy, brązowe oczy, w których tańczyły płomienie odbijającego się ogniska i haczykowany nos sprawiały, że miał w twarzy coś niepokojącego.

Jego baczny wzrok przez chwilę spoczął na Klaudii, po czym omiółł nas wszystkich.

– Zatem co was sprowadza w moje włości? – zapytał, odstawiając puchar nad kominkiem.

– Na balu z okazji postrzyżyn syna diuka Edwarda von Horna ktoś próbował otruć diuka Ahury. Nie znamy rodzaju trucizny, ale wierzymy, że dzięki szybkim zabiegom powstrzymaliśmy jej śmiertelne działanie. – Miltez, który miał być odpowiedzialny za nasze bezpieczeństwo przed nieumarłymi, widocznie zapomniał o swojej roli. W jego głosie dało się słyszeć złość, która raczej nie była wskazana przy tego rodzaju rozmowie. – Twego brata, lordzie Ordeito, znaleźliśmy nieżywego w swojej komnacie. W jego skrzyni była wasza korespondencja, z której wynika, że wiedzieliście o spisku. Ty sam jako jedyny z gości w pośpiechu opuściłeś postrzyżyny, dlatego z rozkazu diuka Edwarda von Horna przybyliśmy tu za tobą, by wyjaśnić tę zagadkową sytuację.

– Otwarcie skrzyni musiało cię sporo kosztować, młody adeptcie? – zapytał, jakby informacja o śmierci brata nie zrobiła na nim żadnego wrażenia. Może wiedział o niej, uciekając z zamku? – Wiedźcie, drodzy goście, że skrzynia ta, jak i wszystkie skrzynie podróżne mego rodu, była zabezpieczona. W razie próby otwarcia przez nieodpowiednią osobę cała jej zawartość – oraz ta osoba – miały ulec spaleni. Jestem pełen podziwu dla waszego maga, który chyba zapomniał się wam pożalić, jak wiele go to kosztowało?

Z przekornym uśmiechem na twarzy lord Ordeita spojrzął na lewą rękę Milteza. Dopiero wtedy spostrzegłem, że nasz towarzysz nosi rękawicę na jednej dłoni. Ze zdziwienia wymalowanego na twarzy Klaudii wywnioskowałem, że ona także nie zwróciła na to wcześniej uwagi.

– A właściwie to skąd, szanowna lady Klaudio, wzięłaś tę suknię? – spytałem szeptem, próbując odwrócić jej uwagę od całej sytuacji.

– Leżała na łożu w mojej komnacie – odpowiedziała szybko, nie odrywając wzroku od Milteza.

– Dziwne, że tak idealnie na ciebie pasuje, pani. Zupełnie jakby była szyta na twą miarę.

– Nieprawdaz? – Klaudia zachwycona komplementem zwróciła głowę w moją stronę. – Też mnie to zaskoczyło. Dlatego pomyślałam, że skoro tak dobrze na mnie leży, nietaktem wobec pana tego zamku byłoby, gdybym jej nie założyła – dodała z uśmiechem na twarzy.

– Zatem – kontynuował Miltez, – w imieniu diuka Edwarda von Horna, żądamy wyjaśnień.

– A dokładniej? – Cała ta rozmowa widocznie bawiła lorda Ordeitę. – O co dokładnie chcesz mnie zapytać?

– O spisek! Czy brałeś w nim udział, lordzie Arlacie Ordeito?

– Spisek? Ja bym tego tak nie nazwał. Myślę, że to skostniałe i zastygłe królestwo wreszcie dorosło do zmian.

– I ty, lordzie, z pewnością wiesz, co należy w nim zmienić?

– Ja? Nie. Ale mój władca – tak.

– Twoim władcą, lordzie Ordeito, jest diuk Edward von Horn, pan Ahury!

Miltez już prawie krzyczał, wypowiadając ostatnie zdanie.

– Mój władca już niebawem będzie i waszym suwerenem – odpowiedź lorda Ordeity przerwał nagły atak nieprzyjemnego kaszlu, który rozszedł się echem po całej sali. – Wybaczcie, noc już późna, a ja nie czuję się na siłach. Rano dokończymy tę rozmowę. Biesiadujcie tak długo, jak chcecie i czujcie się swobodnie. Życzę spokojnej nocy. – Kiwnął głową, a następnie jak gdyby nigdy nie udał się w stronę wyjścia.

Czekaliśmy w milczeniu, dopóki postać lorda Ordeity nie znikła w ciemnościach korytarza.

– Miltezie, dziękujemy ci serdecznie za demonstrację, jak nie należy przeprowadzać rozmów dyplomatycznych! – wyszczał Vissen przez zaciśnięte zęby.

– Hrabia Bevier powinien się dowiedzieć o bezczelnym zachowaniu lorda Ordeity – Miltez wciąż przemawiał oburzonym głosem. Ciemne oczy, głęboko osadzone pod wąskimi brwiami, nerwowo obserwowały otoczenie.

– Więc ty i lady Klaudia idźcie do hrabiego, a ja z lordami Albertem i Vissenem pójdziemy zwiedzić komnaty w wieży północnej – wtrąciłem, wstając od stołu.

– Ale ślepiec zabronił nam tam wchodzić bez zaproszenia pana tego zamku. Zatem jak to tak? Mamy się po prawdzie włamać?

– Drogi Albercie, a gdzie my się teraz znajdujemy? – spytałem, rozglądając się dookoła. – Ta sala stanowi podstawę północnej wieży i zaprosił nas do niej nie kto inny jak lord Ordeita. Zatem – lord Vissen z pewnością się ze mną zgodzi – to nie będzie włamanie, a co najwyżej przeszukanie, bo przecież o to prosił nas hrabia Bevier. Prawda, lordzie? – mówiąc to, uśmiechnąłem się do niego wymownie.

– Dokładnie tak. Zatem ruszajmy... przeszukiwać – odparł szybko Vissen.

WĄSKIE i kręte schody zaprowadziły nas do niewielkiego pomieszczenia na pierwszym piętrze, gdzie znajdowały się jedynie kolejne drzwi. Wraz z Vissenem spojrzeliśmy na siebie, po czym obaj sięgnęliśmy po miecze. Albert zmierzył nas zdziwionym wzrokiem.

– Nigdy nie wiesz, na co natrafisz podczas przeszukiwań zamku – uśmiechnąłem się szeroko i ruszyłem za Vissenem.

Za drzwiami Albert odpalił pochodnię wiszącą na ścianie i podał ją Vissenowi. Pomieszczenie, do którego weszliśmy, tak jak i Sala Chwały, miało kształt dużego półokręgu. Migoczące światło pochodni z ledwością pozwalało nam dostrzec jedyny mebel, jaki

się w nim znajdował. Było to wielkie drewniane łóż z baldachimem i białymi zasłonkami, ustawione w centralnym miejscu tej sali. Idąc w jego kierunku, rozstawiliśmy się w szeregu, jakbyśmy spodziewali się ataku przebudzonej bestii.

Kiedy Vissen uchylił jedną z zasłon, w świetle pochodni zobaczyliśmy śpiącą kobietę. Jej długie, czarne niczym onyks włosy zgrabnie przylegały do ciała, jak gdyby czesano ją tuż po zaśnięciu. Leżała ubrana w suknię, jak ta, w której Klaudia przysłała dzisiejszego wieczoru na kolację. I pomimo innego uczesania, kobieta ta z twarzy była niezwykle podobna do Klaudii.

Vissen spojrział na nas zdziwiony, a następnie delikatnie poruszył ramieniem śpiącej damy. Mięśnie jej twarzy lekko się napięły, po czym powolnym ruchem uniosła powieki. Miała oczy w kolorze czystego bursztynu. Spokojnie odwróciła głowę w naszą stronę. Gdy spojrzała mi w oczy, poczułem bojaźń i onieśmienie. Odruchowo, całą trójką wykonaliśmy krok wstecz, pozwalając jej wstać. Pani nieśpiesznie usiadła na łóżu. Popatrzyła na nas zaspąnym wzrokiem i z uroczą szczerą uśmiechem.

– Śpijcie – przemówiła, wykonując ręką jakiś gest w powietrzu.

KIEDY się ocknąłem, leżałem na podłodze, a dookoła mnie panowała ciemność. Ręką natrafiłem na jakieś ciało, które ścisnęło kurczowo w dłoni zagaszoną pochodnię. Po jej rozpaleniu zobaczyłem Alberta i Vissena leżących tuż przy mnie. Łóżko było puste i nigdzie ani śladu kobiety.

– Wstawaj, księżę, twoja śpiąca królewna uciekła! – krzyknąłem, szturchając Vissena w plecy.

– Mam nieodparte wrażenie – odpowiedział zaspąnym głosem, przecierając oczy – że to nie pierwszy raz, kiedy jakaś kobieta ratuje się ucieczką, widząc lorda tuż po przebudzeniu.

– Na chwałę Aduna, co się stało z tą niewiastą? – zapytał Albert, rozglądając się po komnacie.

– Nie wiem. Nie wiem też, jak długo tu leżeliśmy. – Podniosłem swój miecz z podłogi. – Może warto zejść na dół i zobaczyć, jak się sprawy mają?

Schodząc na dół, zobaczyliśmy, że drzwi do Sali Chluby zostały roztrzaskane. Na podłodze leżały ciała dwojga nieznanym nam ludzi. W miarę jak zbliżaliśmy się do wyjścia z zamku, nasilały się odgłosy walki toczącej się na zewnątrz.

Wybiegłszy na dziedziniec, trafiliśmy w sam środek bitwy. Spowite nocą podzamcze rozświetlał blask płonącej stodoły. Hrabia Bevier i jego świnki toczyli walkę z jakimiś kreaturami, które, przypominały wysuszonych ludzi. Mimo że wyglądały, jakby były pozbawione sił witalnych, walczyły z niezwykle zaciętością. W dodatku miały na sobie kolczugi, a w rękach trzymały topory, którymi wymachiwały równie nieruchawo, co świnki hrabiego.

Lord Ordeita z widocznym grymasem niezadowolenia ścisnął w rękę miecz, którego ostrze jarzyło się czerwonym blaskiem. Przeciwnikiem, z którym się mierzył był szkielet ze złotych kości. Okryty był po części złotym napierśnikiem i złotymi naramiennikami. W dłoniach trzymał potężny espadon, na którego ostrzu świeciły jakieś znaki.

Od pola walki oddzielał nas skierowany plecami w naszą stronę, wysoki na trzy metry szkielet, w całości owinięty przegniłymi bandażami. Na głowie miał koronę płonąca ogniem w zgniozonym kolorze, a odziany był jedynie w karwasze wykonane z zielonego metalu. Podpierał się dwuręcznym mieczem, którego ostrze lśniło blaskiem identycznym jak korona.

Ruszyłem jako pierwszy. Wyskoczyłem do góry, wyjmując jatagan w powietrzu. Wywinąłem młynek i z impetem ciąłem przeciwnika na wysokości karku. Ostrze mej broni przeleciało pomiędzy bandażami, nie czyniąc nieumarłemu żadnych obrażeń. Ten, nie odwracając się w moją stronę, machnął mieczem na oślep w tył. Odskakując, potknąłem się o Alberta i wylądowałem na plecach. Koziółkując, dostrzegłem atak Vissena. Pomimo swego wyglądu i wielkości, martwiak dość zgrabnie sparował jego wypad. Następnie zakreślił mieczem koło nad głową i uderzył. Vissen z trudem uniknął ciosu, po czym ciął na wysokości pasa. Nieumarlak sparował bez najmniejszego problemu. Ciężki, dwuręczny miecz w jego rękach poruszał się śmiertelnie szybko.

Albert pobiegł na pomoc Shu, która broniła dostępu do Klaudii i Milteza. Ten ostatni stał z opuszczoną głową i w skupieniu wypowiadał słowa, których treść zagłuszały odgłosy walki. Stojąca przed nim Klaudia pomimo wymalowanego na twarzy strachu dzielnie odpierała atak jednej z kreatur. Wydawała się pilnować, by nikt nie przeszkodził jej ukochanemu w tym, co robi, cokolwiek by to nie było.

Ponownie doskoczyłem do spowitego w bandażu nieumarłaka. W chwili, gdy on zasłaniał się przed moim atakiem, wepchnąłem lewak pod jego lewą pachę.

– Coś mi się wydaje, lordzie Vissen von Osterlów, że jest to znakomita pora, by skończyć z ceregielami i przestać sobie lordować! – krzyknąłem, odskakując.

– Natomiast mi się wydaje, Arisie, czy jakkolwiek się nazywasz – wycedził przez zęby Vissen, atakując sztychem – że atak na to paskudztwo był najgłupszą rzeczą jaką mogłeś zrobić!

Martwiak sparował, odbijając miecz Vissena od dołu, po czym uderzył go lewą pięścią w twarz. Przez krótką chwilę stał przede mną z rozłożonymi rękoma. W prawej dłoni trzymał miecz, a spod lewej pachy wystawał mu mój lewak. Wybiłem się do przodu i z całej siły natarłem mieczem pod jego prawe ramię. Obandażowany, robiąc potężny zamach rękoma, dwoma karwaszami uderzył w mój miecz, który pękł niczym treningowa zabawka. W tej samej chwili za jego plecami, od strony Milteza wybuchł świetlisty płomień, którego blask całkowicie mnie oślepił. Kiedy już udało mi się odzyskać ostrość obrazu, zobaczyłem miecz spadający wprost na mą głowę. Usłyszałem pęknięcie metalu, z którego wykonany był mój hełm. Przez chwilę czułem, jak ciepła ciecz spływała po mej twarzy, po czym moje oczy zatopiły się w czerwieni.

Gdy odzyskuję przytomność, spostrzegam, że otacza mnie biel. Leżę na bieli i wszystko dookoła mnie jest bielą. Podnosząc się, przecieram oczy i macam po głowie – nigdzie ani śladu krwi.

– Zaciekawileś mnie – dochodzą do mnie słowa, wypowiedziane za moimi plecami.

Kiedy się odwracam, stoję na wprost Czarnego Rycerza. Tego samego, którego widziałem w lesie. Jest wyższy, niż mi się wydawało i o wiele potężniejszy w barkach. Jego twarz wciąż przysłania czarny hełm garnkowy, z którego przez szparę wwiercają się we mnie dwa czarne ślepie.

– Wybacz mą konsternację, panie, ale po raz pierwszy słyszę te słowa z ust tak potężnego rycerza – odpowiadam, kłaniając się.

– Jesteś zuchwały i porywczy, co też prawie doprowadziło cię do śmierci.

– Śmierci? – Słyszę drzenie mego własnego głosu.

– Jednocześnie jesteś odważny i nie boisz się ryzyka, dlatego osłoniłem cię przed tamtym ciosem, więc może jednak nie umrzesz.

– Nie umrę? – Powtarzam jego słowa niczym tresowana papuga. Jednakże czuję, że im dłużej rozmawiamy, tym większą mam szansę na przeżycie. – A co musiałbym zrobić dla ciebie, panie, by móc pożyć jeszcze trochę?

– W dodatku nie jesteś aż tak głupi. Przydałby mi się ktoś taki. – Czarny Rycerz robi przerwę, jakby się wciąż zastanawiał nad propozycją. Po chwili opiera rękę na głowni miecza i kontynuuje: – Od lat poszukuję pewnego przedmiotu. Pozwolę ci nadal żyć, pod warunkiem, że pomożesz mi go znaleźć. Coś mi mówi, że w niedalekiej przyszłości historia tworzona przez ciebie oraz historia poszukiwanego przeze mnie przedmiotu, skrzyżują się. Chcę być, pamiętała, że masz zdobyć ten przedmiot i mi go dostarczyć.

– A cóż to jest za przedmiot?

– Czarna Włócznia. Dla ciebie i większości żywych ludzi jest ona bezużyteczna.

– Rozumiem, że nie jest to zwykła czarna włócznia?

– Dobrze rozumiesz. Ja poszukuję Czarnej Włóczni, która należała kiedyś do Osiirika. Nie wiem, gdzie obecnie się znajduje, ale to już twoje zmartwienie, o ile zgadzasz się przyjąć mą propozycję?

– Ależ jakże mógłbym odmówić? Jest to najlepsza propozycja, jaką w życiu po życiu otrzymałem.

– Zatem idź i żyj – słowa te rozchodzą się donośnym echem.

– Jedną chwileczkę, panie – wtrącam szybko, nim zniknie jak ostatnim razem w lesie. – Ożyję i zapewne pojawię się w miejscu, w którym zginąłem, czyli pod mieczem obandażowanego nieumarłaka. Może znasz jakiś sposób, albo posiadasz jakąś broń, która pomogłaby mi w pokonaniu tego plugastwa?

– Wilczy Kiel – odpowiada Czarny Rycerz po chwili milczenia – powinien pomóc w bitwach, jakie przyjdzie ci stoczyć.

Odruchowo spoglądam na swój pas, do którego mam przytwierdzony nieznan mi miecz. Z pochwy wystaje ciemnoniebieska rękojeść zakończona trzema wilczymi łbami. Z każdej rozwartej paszczy wychodzi kolejny wilczy łeb, z czego ostatni trzyma w zębach srebrnej barwy kryształ. Jelec w kształcie rozwartej podkowy zakończony jest z obu stron niebieskimi kamieniami. Kiedy wyjmuję miecz z pochwy, ostrze zaczyna lśnić błękitnym blaskiem.

– Dziękuję ci, panie łaskawy. Czy mogę wiedzieć jak brzmi twoje imię? – Podnoszę głowę, jednak Czarnego Rycerza już nie ma.

– Żyj – odpowiada głos, który wraz z otaczającą mnie bielą zaczyna się oddalać i zamazywać.

OTWORZYŁEM oczy. Znajdowałem się przed zamkiem lorda Ordeity. Hrabia Bevier ze swoimi świnkami nadal toczyli zaciekle bój z nieumarłymi. Albert i Shu tworzyli zaporę pomiędzy martwiakami a Klaudią i Miltezem, który właśnie wystrzelił płomienistą wstęgą, spopielając jednego z przeciwników. Lord Ordeita ostatkiem sił walczył ze złotym szkieletem. Zdążył pozbawić przeciwnika lewej ręki, a mimo to pojedynek wciąż wydawał się wyrównany.

Nieumarlak w bandażach, z którym walczyłem, znajdował się w niedalekiej ode mnie odległości. Stał i wpatrywał się w Vissena.

Ten miał zamknięte oczy, a jego ciało, nienaturalnie wyprostowane, spowite było gęstą mgłą.

Jednakże najważniejsze było to, że żyłem! O Pustynni Bogowie, chwała wam za łaskę. Chwała i cześć wszelkim bogom za to, że dali mi ponownie stąpać po ziemi, nawet jeśli wciąż jest to brudna i rynsztokowa ziemia Ahury. Prawie umarłem, a jednak żyję. Sprawdziłem dłonią czaszkę – cała, nigdzie ani śladu krwi. W prawej ręce trzymałem miecz lśniący błękitną poświatą. Zatem to nie bogowie przywrócili mnie do tego świata, a Czarny Rycerz. To jemu powinienem być wdzięczny i to jemu złożoną obietnicę muszę teraz wypełnić.

Uniosłem miecz na wysokość oczu i bacznie mu się przyjrzałem. Jego światło zdawało się pulsować na równi z biciem mego serca. Nie dawało ciepła ani też nie chłodziło. Ostrze było precyzyjnie równe z obu stron, jakby dopiero co wyszło spod kowalskiego młota. Zrobiłem dwa machnięcia w powietrzu. Był wręcz idealnie wyważony. Niestety nie było mi dane dłużej mu się przyglądać, gdyż martwiak zareagował na mój ruch i ruszył w moją stronę.

Kiedy przeciwnik znajdował się w połowie drogi ode mnie, spostrzegłem jak mgła spowijająca Vissena zaczyna wnikać w głąb jego szeroko otwartych ust. Ciało lorda gwałtownie wygięło się do tyłu, a następnie wyprostowało. Mgła znikła, a Vissen podniósł powieki. Pomimo panującego półmroku mogłem dostrzec, jak w jego całkowicie białych oczach odbijały się płomienie tańczące na dachu stodoły. Wstał. Wydawał się lekko ogłuszony, jednakże na widok nieumarłego w bandażach szybko oprzytomniał.

Wraz z Vissenem zaszarżowaliśmy jednocześnie. Nieumarły stanął w pozycji obronnej, przyglądając się nam obu. Nagle uniosł miecz do góry i zaczął kreślić nad głową koło. Wymachując nim coraz szybciej, przygotowywał się na nasz atak. Zatoczyłem lekkie półkole i wbiegłem wprost na niego. Wiedziałem, że będzie ciąć zamasyście, chcąc trafić nas obu jednocześnie, dlatego byłem gotowy do twardej zastawy. W chwili gdy jego miecz obniżył lot, przyjąłem pozycję odpowiednią do sparowania. Bardziej

wyobraziłem sobie aniżeli odczułem moc tego ciosu. Cały jego impet jakimś sposobem został wchłonięty przez mój nowy miecz. Kątem oka dostrzegłem jak Vissen wyskoczył do góry. Wpatrujący się we mnie zdziwiony martwiak, nawet nie spostrzegł spadającego ciosu. Vissen opadł lekko na obie nogi, a głowa nieumarłego potoczyła się w stronę walczących. Jego korona odbijająca się od brukowanego dziedzińca wydawała metaliczny odgłos, tracąc zielonkawą poświatę. Ciało, nim upadło na ziemię, zdążyło się całkowicie rozsypać w proch. Jakby to, co znajdowało się pod bandażami nagle znikło, a poźółtkie tkaniny, nie przylegając już do niczego, po prostu się zapadły.

Po rozpadzie obandażowanego nieumarłaki zaczęły osuwać się na ziemię, jeden po drugim. Nie minęła chwila, a z walczących na placu boju pozostał tylko lord Ordeita i jego przeciwnik. Szkielet pomimo braku lewej ręki wciąż walczył, nie zwracając uwagi na to, co dzieje się wokół niego. Lord Ordeita, ciężko oddychając, ciął na wysokości pasa. Kiedy szkielet sparował, lord odbił się od jego miecza, wykonując obrót przez prawe ramię. Lewą ręką zerwał swą pelerynę i narzucił ją na głowę jednorękiego nieumarłaka. Osłepiony przeciwnik zaczął chaotycznie wymachiwać mieczem dokoła siebie. Lord uniknął jednego z ciosów, zachodząc nieumarłego od tyłu. Zamaszystym cięciem trafił szkielet pod żebra, przecinając mu kręgosłup. Ten osunął się na ziemię w dwóch częściach. Spod peleryny zasłaniającej czaszkę szkieletu wydobył się dziwny jęk, po czym obie części rozsypały się całkowicie. Lord Ordeita przykląkł, opierając się o swój miecz. Rękawem tłumił konwulsyjny atak kaszlu.

W powietrzu unosił się zapach spalenizny, a do uszu dochodziły trzaski płomieni, kaszel oraz dyszenie pozostałych przy życiu. Większość w milczeniu usiadła tam, gdzie stała. Tylko Vissen spokojnym krokiem podszedł do lorda Ordeity. Kiedy ich oczy się spotkały, przez krótką chwilę dostrzegłem na twarzy pana zamku zdziwienie, które szybko przemieniło się w strach. Bez żadnego słowa, ani żadnych zbędnych ceregieli jednym szybkim cięciem Vissen odciął głowę na wpół zgiętego lorda Ordeity. Wyglądało to

niczym egzekucja wykonana przez kata na skazańcu. Krzyk Klauddii zagłuszył dźwięk, jaki wydały broje lorda Ordeity i Vissena, upadając na brukowany dziedziniec.

BYLIŚMY okrutnie zmęczeni i niezwykle zaskoczeni wydarzeniami, jakie miały miejsce tego wieczoru. Miltez jako jedyny miał siły i chęci, by przeszukać bezgłowe ciało ostatniego z rodu Ordeitów. W tym czasie Vissen, opatrzony przez Klaudię, odzyskał przytomność.

– Teraz jestem już pewien, Arisie, że atak na tego obandażowanego truposza był największym popisem szczeniackiej bezmyślności, jaką miałem nieprzyjemność oglądać! – wycodził przez zęby, ręką macając się po głowie.

– Takie słowa z ust lorda? Czy to wypada, drogi Vissenie? – spytałem, uśmiechając się do niego. – Dzięki tej próbie dowiedzieliśmy się, jak bardzo zgrany tworzymy duet. Jesteśmy do siebie niezwykle podobni, prawie jak bracia. No, może z wyjątkiem zabójstwa lorda Ordeity, nie jestem w stanie pojąć, co tobą kierowało?

– Podobni niczym dwie połówki końskiego zada, z czego tylko jeden został dziś porządnie obity! Nie zamierzam się przed tobą tłumaczyć. Wiedz jednak, że to, co zrobiłem, wynikało po części z twojej głupoty – odpowiedział zagadkowo, podnosząc się z ziemi. – Zachowałeś się jak młody szczeniak, który samotnie atakuje wilka tylko po to, by pokazać swą przydatność podczas polowania.

– Jak mawiał stryj Ali: kto nie ryzykuje, ten chałwy nie kosztuje.

– A mój wuj raczył mawiać, nie daj się zabić dzisiaj, byś mógł walczyć jutro.

– Muszę przerwać waszą wymianę rodowych mądrości – wtrącił Miltez. – Przy lordzie Ordeicie znalazłem jakieś klucze, dlatego proponuję, byśmy się udali przeszukać zamek.

– Obyście tylko ponownie czego nie wypłoszyli – wtrącił hrabia Bevier. – Straciłem dwóch ludzi. Kolejnych pięciu jest rannych, z czego dwóch zostało poparzonych. Zbyt pobłażliwy był

lud dla magów podczas Czystek po zwycięstwie Hakona nad Smokiem. Oby tak magom ich czary wylażyły przez dupę – mówiąc to, spojrzął na Milteza wzrokiem tak nieprzyjemnym, że aż mnie ciarki przeszły. – Wiedz, chłopcze, że gdyby nie protekcja diuka Edwarda, skończyłbyś na tym drzewie z hakiem wbitym pod szczękę. – Po tych słowach splunął siarczyście pod nogi Milteza. Następnie odwrócił od niego głowę i przemówił w naszą stronę: – Niedługo będzie świtać. Niecały dzień drogi galopem stąd znajduje się zamek wicehrabiego Einricha Horstmanna. To mój dobry przyjaciel. Proponuję udać się tam na odpoczynek. Wyruszymy o poranku. Do tego czasu możecie przeszukiwać zamek.

WYSOKA warstwa kurzu i rozłożyste pajęczyny świadczyły o tym, że do trzech spośród czterech wież od dawna nikt nie zaglądał. W wieży północnej, tam gdzie spotkaliśmy śpiącą damę, kolejne piętra stanowiły pokoje prywatne lorda Ordeity. Znaleźliśmy tam tylko półki z mało istotnymi książkami i szafy pełne ubrań.

Dopiero w piwnicy udało nam się odnaleźć coś ciekawego. Zaraz za pomieszczeniem z winami – muszę przyznać, że dość dobrze zaopatrzonym – znajdowała się przestronna komnata. Dużą jej część zajmowała wysoka biblioteczka z oszklonymi drzwiczkami. Po drugiej stronie komnaty stało biurko, a nad nim obraz przedstawiający lorda Ordeitę z bratem. Centralne miejsce na bocznej ścianie zajmował zawieszony miecz. Przepięknie zdobioną broń w całości wykonano ze stali słonecznej.

– Lepiej niczego nie dotykajcie. Podejrzewam, że część rzeczy tu się znajdujących jest magiczna – ostrzegł Miltez.

Posłałem zdziwione spojrzenie Vissenowi.

– Dziękujemy za ostrzeżenie – burknął Vissen. – Szkoda tylko, że nas nikt nie ostrzegł przed podróżą z magiem i jego pomocnicą.

Po tych słowach zrozumiałem, że w Ahurze większość mieszkańców nie przepadała za osobami zgłębiającymi tajniki magii. W Dahaku tylko gubernatorzy mogli szkolić się w wiedzy tajemnej. Niestety specjalizowali się głównie w nekromacji, czym wzbudzali zarówno postrach, jak i niechęć wśród ludu.

W biblioteczce zamkniętej na klucz znajdowały się zwoje, według Milteza także magiczne. Bardzo szybko okazały nam jedne ze swoich niezwykłych właściwości i błyskawicznie poczęły znikać w jego torbie.

Na masywnym, dębowym biurku leżała mapa księstwa Ahury. Pozaznaczano na niej czarnymi kropkami różne miejsca. Jedna z takich plam była w miejscu, gdzie znajdował się zamek Ordeitów. Zwinęliśmy mapę z zamiarem pokazania jej diukowi Edwardowi. Klucze znalezione przy panu zamku pozwoliły magowi na otwarcie szafek w biurku. Z pierwszej szuflady wyjął diadem zrobiony z popielatych kamieni oszlifowanych na kształt kości. W następnej znalazł wyrzeźbioną w czarnym drewnie statuetkę konia. Miltez stanowczo stwierdził, że obie te rzeczy są magiczne, po czym włożył je do torby. W ostatniej z szuflad znajdowała się szkatułka z listami i dokumentami, jednak nie było czasu, by się im bliżej przyjrzeć.

Po chwili milczenia mag zabrał się za otwieranie drewnianych skrzyń stojących pod ścianą. Na szczęście nie były zamknięte ani też zabezpieczone zakłęciami. Gdy tylko podniósł wieko pierwszej, po komnacie rozszedł się smród rozkładającego się ciała. W środku znajdowały się wysuszone zwłoki sługi lorda Ordeity. Dopiero wtedy zdaliśmy sobie sprawę, że nikt nie potrafił powiedzieć, co się z nim właściwie stało po kolacji, natomiast wszystkim zdawało się, że odnalezione ciało leżało tu już długo. Jednak to zawartość drugiej skrzyni zaskoczyła nas najbardziej. Była ona po brzegi wypchana złotymi monetami. Przez chwilę zdawało mi się nawet, że widziałem monety z Dahaku.

– Tylko mi nie mówcie, że to też jest magiczne, lub że zamierzacie oddać diukowi? – spytałem, spoglądając na resztę.

– Ależ oczywiście, że tak – oznajmił Albert.

– A dlaczego miałoby to być takie oczywiste? – wtrącił Vissen.

– Mag dostanie zwoje i magiczne zabawki, diuk dostanie zamek, bo ród Ordeitów wygaś. Uważam, że nam również się coś należy.

– Całkowicie się z tobą zgadzam – wtrąciłem pośpiesznie.

– Zdaje mi się, że tobie również, drogi Albercie, przydałyby się

pieniądze na podreperowanie zbroi, naprawę tarczy, lub chociażby na nowy dzwon w zakonie, by mógł swym czystym dźwiękiem nawoływać wiernych do modlitwy na cześć Pana.

– Proponuję, by pieniądze znalezione w tej skrzyni sprawiedliwie podzielić na pięć równych części – odezwała się Klaudia, która właśnie zanurzyła ręce w złocie.

– Pięć? A lady Eleonora oraz hrabia Bevier ze swoimi ludźmi? – oburzył się Albert.

– Hrabia Bevier i jego ludzie są na rozkazach diuka, który z pewnością sowicie im to wynagrodzi. – Liczyłem na poparcie Vissena. – Zgadzam się na Shu, ale musicie przyznać, że Miltez z lady Klaudią otrzymali już wynagrodzenie w postaci zwojów, diademu i posążka konia.

– Jeszcze płaszcz – wtrącił Miltez.

– Co? – z niedowierzaniem spojrzałem w kierunku starego płaszcza wiszącego na wieszaku tuż za drzwiami. – Że niby on również jest magiczny?

– Wierz mi na słowo, lepiej go na razie nie zakładać. – Nim mag zdążył dokończyć to zdanie, płaszcz zniknął w jego torbie.

– Zatem uczynimy tak: zwoje idą do maga, bo nam i tak się nie przydadzą. Po potwierdzeniu magicznych właściwości diadem, posążka, i płaszcza – Vissen skrzywił się w kierunku Milteza – wspólnie zadecydujemy, co z tymi rzeczami zrobić. Złoto natomiast dzielimy na sześć równych części.

– A jakby się ktoś pytał, po co bierzemy tę skrzynię, to powiemy, że w żaden sposób nie mogliśmy jej otworzyć – dokończyłem, zamykając skrzynię na klucz.

DO ZAMKU wicehrabiego Einricha Horstmanna dotarliśmy pod wieczór. Na każdej z czterech zamkowych wież powiewał herb wicehrabiego przedstawiający czerwonego orła z rozpiętymi skrzydłami na tle białej tarczy. Chwilę po tym jak wjechaliśmy na dziedziniec, po schodach prowadzących do zamku zbiegła młoda szlachcianka w otoczeniu dwórek. Albo raczej dwórek, bo wszystkim im bliżej było do worków niż do dam. Jedynie prowadząca je

młódka, będąca w początkowej fazie cielesnego rozkwitu, przyciągała męskie oko. Największym jej atutem były niewątpliwie kruczoczarne włosy sięgające do pasa. Niebieska suknia ze złotymi wcięciami na ramionach wymownie podkreślała jej dojrzewające kształty. Z długiej i gładkiej szyi zwisał łańcuszek, na końcu którego błyszczał złoty medalion w kształcie półksiężyca z czterema czerwonymi rubinami.

– Witajcie, szanowne damy i zacni rycerze. Jestem lady Carmen von Aldberg i mam zaszczyt przywitać was na zamku mojego stryja, wicehrabiego Einricha Horstmannna. – Ukłoniła się niezwykle zgrabnie, po czym każdemu z nas posłała promienny uśmiech.

– Wybaczcie mojemu stryjowi, że nie wita was osobiście, ale zdrowie mu nie pozwala. Z radością spotka się z wami podczas kolacji.

– Serdecznie dziękujemy za tak życzliwe przyjęcie – rozpoczął Vissen. – Pozwól pani, że przedstawię ci moich zacnych towarzyszy. Oto lady Eleonora van de Sark, dama o nietypowej sile i urodzie, choć spod zbroi tego nie widać. Tuż przy niej stoi pani Klaudia Gevier, pani wielu głęboko ukrytych talentów. Naszej wyprawie przewodzi hrabia Oltag Bevier, zaufany człowiek diuka Edwarda, ale pani go chyba już zna. Ten oto zacny rycerz to Albert van de Sark. Obok niego stoi ciemnooki, ciemnowłosy i ogólnie ciemny pan Aris przybywający z za Bezmiaru Błękitu. Następny to Miltez Regalia, nie daj się pani zwieść jego wątłej posturze, gdyż jest on dzielnym i nieposkromionym strażnikiem... swej torby, z której niejedno cudo można by wydobyć. Ja natomiast jestem lord Vissen von Osterlów, uniżony sługa szanownej damy. – Szydercza wypowiedź Vissena miała rozbawić i rozbawiła młodą lady Carmen. Mi natomiast uświadomiła, że Shu i Albert są rodzeństwem. – Z polecenia diuka Edwarda von Horna, wybraliśmy się do zamku rodu Ordeitów. Tam spotkała nas niemiła przygoda, w wyniku której straciliśmy dwóch towarzyszy, a kilku innych jest rannych i wymaga opieki. – Na te słowa lady Carmen aż podskoczyła ze strachu. – Bylibyśmy wdzięczni, gdyby wicehrabia Einrich Horstmann udzielił nam schronienia i pomógł zaopiekować się rannymi.

– Wizyta tak znakomitych gości to prawdziwy zaszczyt. Oczywiście, nasz cyrulik zajmie się waszymi towarzyszami. Was samych natomiast proszę do komnat, gdzie będziecie mogli się odświeżyć i wypocząć. Jak tylko poczujecie się lepiej, wraz ze stryjem zapraszam na ucztę wydaną specjalnie z okazji waszego przybycia.

Zeskoczyliśmy z koni, którymi zajęła się służba. Mijając w wejściu do zamku lady Carmen, udało mi się dostrzec dwie rzeczy. Pierwszą były jej oczy, czarne niczym bezgwiezdna noc. Kolor ten dodatkowo podkreślały grube, gęste rzęsy w równie głębokim odcieniu czerni. Druga to rumieniec, jaki pojawił się na jej policzkach, gdy mijał ją Vissen.

Lady Carmen każdego z nas osobiście odprowadziła do komnaty. Następnie udała się dopilnować, by służba odpowiednio zajęła się rannymi.

Nie pamiętałem, kiedy zasnąłem. Położyłem się, czekając na balię z gorącą wodą i najwidoczniej dałem się całkowicie pochłonąć zmęczeniu. Ze snu wyrwało mnie pukanie do drzwi. Gdy otworzyłem oczy w komnacie panował półmrok. Ponowne pukanie.

– Proszę.

– Wicehrabia Horstmann i lady Carmen zapraszają na wieczerzę.

– Już idę.

Kiedy wyszedłem z komnaty, na korytarzu czekał służący.

– Proszę za mną.

Z korytarza obok wyszedł kolejny służący, a tuż za nim Vissen. Po jego twarzy widać było, że on również długo zastanawiał się nad tym, czy bardziej chce mu się spać czy jeść.

Wprowadzono nas do przestronnej sali oświetlonej płomieniami kominków, a każdy znajdował się w innej części pomieszczenia. Ściany ozdobione były naprzemiennie porożami i obrazami o tematyce myśliwskiej. Nad stołem zwisała duża, drewniana rzeźba przedstawiająca orła w ataku. Jego dziób był rozwarty, a pazury agresywnie wyciągnięte w przód. Do szeroko rozpiętych skrzydeł miał poprzyczepiane świece. Wszystko tu wydawało się toporne i nieobrobione.

Środkowe miejsce przy stole zajmował wicehrabia Horstmann. Wiekowy mężczyzna, aczkolwiek nadto wysuszony jak na swoje lata. Założył na siebie spory, czerwony żupan z posrebrzany-
mi haftami, przepasany szerokim, perłowym pasem. Po jego pra-
wej stronie siedziała lady Carmen. Jej głowę zwieńczał bujny kok
upięty złotymi broszkami w kształcie kwiatów. Lekko zakręcone
końcówki włosów swobodnie opadały na złotą koronkę zasłania-
jącą młody, jędrny dekolt. Ubrana była w dopasowaną, błękitną
suknię ze złotymi koronkami i haftowanymi złotymi półksiężycami.
Następnie miejsca zajmowali Klaudia i Miltez. Z lewej strony
wicehrabięgo zasiadał hrabia Bevier, Shu i Albert.

Po wejściu do sali ukłoniliśmy się wicehrabiemu oraz lady
Carmen. Jej wzrok przez chwilę zatrzymał się na Vissenie, po
czym szybko uciekł w stronę stołu. Szturchnąłem Vissena w bok
i wyprzedziłem go, udając się w kierunku Alberta. On, nie mając
wyboru, posłał mi karcące spojrzenie i usiadł po stronie lady Car-
men, tuż obok Milteza.

– Skoro już jesteś w komplecie – przemówił wicehrabia
głosem drżącym, lecz spokojnym – pragnę ponownie wszystkich
przywitać. Jak mawia stare porzekadło, niespodziewany gość jest
błogosławieństwem każdego domu. Zdążyłem rozmówić się z hra-
bią Bevierem, którego znam od dawna. Wiem, jak ciężką mieliście
przygodę, dlatego rad będę, jeżeli pozostaniecie w moim zamku
dopóty, dopóki wszyscy poczujecie się wypoczęci, a wasi ranni
towarzysze dojdą do zdrowia. – Wypowiedź przerwał mu suchy
kaszel tłumiony w białą chusteczkę. – Od dłuższego czasu pisy-
wałem do diuka o niepokojących rzeczach mających miejsce na
zamku Ordeitów. Większość pracujących tam chłopów już daw-
no uciekła na moje ziemie. Twierdzili, że tamtejsze pola przestały
przynosić plony. Opowiadali także dziwne historie, które miały
mieć miejsce na zamku. – Ponownie zaczął kaszleć do chustecz-
ki, na której dało się dostrzec krople krwi. – Z tego, co słyszałem
od hrabięgo, wnioskuję, że nie wszystkie bajdy opowiadane przez
chłopów były wymyślone na potrzebę straszenia dzieci. Za cza-
sów, gdy na zamku panowali rodzice Ordeitów, tamtejsze ziemie

były płodne, a ludzie szczęśliwi. Nie mogę uwierzyć, że ich synowie poświęcili się plugawym praktykom magicznym. Zawsze byli żądni wiedzy, ale lady Raelena umiała skierować ich na dobrą drogę rozwoju. Zresztą tej damie żaden mężczyzna nie był w stanie niczego odmówić – mówiąc to, uśmiechnął się w stronę hrabiego Beviera. – Niestety śmierć obojga rodziców sprawiła, że rozżaleni synowie zblądzili... – Kolejny wybuch kaszlu nie pozwolił mu dokończyć wypowiedzi.

– Kochany stryju, proszę cię, przestań już truć siebie i naszych gości tymi niemiłymi opowieściami. Z pewnością tylko przez grzeczność nadal cię słuchają, mimo że w swych myślach wieczrę już zaczęli. – Lady Carmen uśmiechnęła się życzliwie w stronę Milteza. Ten od dłuższej chwili nie zwracał uwagi na rozmówców, lecz wpatrywał się w dziczyznę niczym bezpański pies w gnat. – Nasi goście zapewne od dawna nie mieli porządnego jadła w ustach.

– Jak zwykle masz rację, moja Gwiazdeczko. Zatem wieczrę czas zacząć.

Po tych słowach wszyscy zabraliśmy się do jedzenia. Pomimo łapczywego pochłaniania potraw, udało mi się docenić ich wyborność. Na stole można było znaleźć wszelkie rodzaje marynowanej dziczyzny, zatopionej w sosie bądź obsypanej leśnym runem. Nawet w trunkach dało się dostrzec zamiłowanie wicehrabiego do polowań. Każda z karafek posiadała zdobienie związane z lasem, a wypełnione były głównie miodami i korzennym piwem.

– Wraz z wicehrabią uzgodniliśmy, że ja i moi ludzie zostaniemy tu tak długo, jak długo ranni będą wymagali opieki. – Ciszę, jaka towarzyszyła jedzeniu, przerwał hrabia Bevier. – Wy natomiast czyńcie, jak uważacie.

– Po prawdzie wydaje mi się, że powinniśmy jak najszybciej odwiedzić diukowi Edwardowi rzeczy znalezione w zamku Ordeitów – zauważył Albert. – Możliwe, że zawierają one prawdziwie ważne informacje. Dzięki przychylności Aduna nie ucierpiałem zanadto w dotychczasowych potyczkach, toteż mogę wyruszyć jutro z rana, by osobiście dostarczyć je diukowi.

– Masz rację, lordzie Albercie – przytaknął mu hrabia, wbijając nóż w kolejny kawał dziczyzny. – Drogi powinny być bezpieczne, jednak rozsądniej byłoby nie wyruszać w pojedynkę.

– Jeżeli wicehrabia Horstmann i lady Carmen raczą wybaczyć nam tak krótką wizytę, to wszyscy wyruszymy z Albertem. – Wtrąciłem, ścierając dłonią tłuszcz z brody.

– Ależ oczywiście – odpowiedział wicehrabia – sprawy królestwa przede wszystkim.

– Jakaż to szkoda, że zamierzacie nas opuścić tak szybko – wtrąciła lady Carmen. – Wraz ze stryjem od dawna nie mieliśmy okazji przyjmować gości na zamku. Byłam pewna, że będę mogła wysłuchać opowieści zarówno o postrzyżynach syna diuka jak i o waszych przygodach. – W jej głosie można było usłyszeć prawdziwy smutek.

– Nam również jest przykro opuszczać zamek, który tak wielki skarb skrywa za swymi murami – skinąłem głową ku lady Carmen, której spłoszony wzrok uciekł w kierunku talerza z owocami. – Z wielką przyjemnością zabawilibyśmy szanowną damę opowieściami o naszych przygodach. Tym większa to strata, że lady nie może wyruszyć z nami. Tak uroczą damą byłaby prawdziwą ozdobą na zamku diuka Edwarda.

Po tych słowach lady Carmen pokraśniała niczym polny mak. Wicehrabia spojrzął w jej stronę, po czym głęboko westchnął.

– Już od dłuższego czasu nosiłem się z zamiarem wysłania cię, Gwiazdeczko, na dwór diuka pod opiekę jego żony, duchessy Flabii – przemówił wicehrabia. – Na tym zamku nie nauczysz się już niczego nowego. Dama w twoim wieku poza wykształceniem powinna także nabyć ogłady towarzyskiej oraz obycia wśród dworzan. Tego nigdzie indziej nie nauczysz się tak dobrze, jak na zamku diuka. Jesteś jeszcze wprawdzie ciut nieokrzesana, ale myślę, że pod bacznym okiem duchessy nabędziesz odpowiednich manier.

W chwili, gdy jego wypowiedź przerwał atak kaszlu, lady Carmen rzuciła się w jego stronę.

– Dziękuję ci, stryju kochany – mówiąc to, całowała go w policzek. – Już za tobą tęsknię, ale wiedz, że nie mogłeś mi sprawić

większej przyjemności. Od tak dawna pragnęłam wyruszyć na dwór diuka, zaznajomić się z pięknymi damami i poznać szlache-nych rycerzy. Och, stryju, jestem taka szczęśliwa!

Niewielkie perelki spływające po jej policzkach stanowiły najlepszy dowód na to, że mówiła prawdę.

– No, już, już, spokojnie, moja Gwiazdeczko. – Wicehrabia zaczął głaskać lady Carmen po głowie. – Czy to wypada damie, by się tak zachowywała przy stole? Rozmówiłem się już z hrabią Bevierem i obiecał mi, że zabierze cię ze sobą. Wyruszyście, jak tylko jego ludzie w pełni odzyskają siły.

– Jeżeli wicehrabia będzie tak hojny – starałem się przemawiać głosem spokojnym – i raczy obdarować nas swoim największym skarbem, eskorta lady Carmen do zamku księcia diuka Edwarda będzie dla nas prawdziwym zaszczytem. Wierzę, że hrabia Bevier uzna nas za godnych swego polecenia, co też powinno rozwiązać wszelkie nieufności wicehrabiego w stosunku do nas. Dałoby to nam sposobność odwdzięczenia się za uczynioną nam gościnę.

Po tych słowach wilgotne oczy lady Carmen zapłonęły niczym węgliki podlane oliwą.

– Och, stryju, proszę, błagam, zgódź się. Teraz gdy już wiem, że mam wyjechać na dwór diuka, każdy dzień oczekiwania będzie mi się tu śmiertelnie dłużył. – Lady Carmen pocałowała dłoń stryja. – Obiecuję nie marudzić i nie spowalniać podróży. Jeszcze dziś po wieczery spakuję tylko niezbędne mi ubrania i jutro z samego rana będę gotowa do wyjazdu. Resztę mych rzeczy zapakuję w skrzynie, które będą mogły przyjechać wraz z hrabią Bevierem, jeżeli nie będzie to stanowiło dla niego kłopotu.

Na te słowa hrabia Bevier otworzył usta, ukazując duży kawałek mięsa między zębami. Gest ten miał chyba wyrażać akceptację tego pomysłu.

– My także pozostawimy hrabiemu jedną skrzynię pod opieką – wtrącił Vissen – ciążyłaby nam podczas powrotu. Jestem jednak pewien, że towarzystwo lady Carmen jedynie uskrzydli naszą podróż.

Wicehrabia obrzucił nas podejrzliwym spojrzeniem, po czym jego wzrok zatrzymał się na twarzy hrabiego. Ten machnął ręką od niechcenia i ponownie zajął się mięsem leżącym na talerzu.

– I co ja mam z tobą począć, Gwiazdeczko? Wszak teraz żyć byś mi nie dała, gdybym zechciał cię te kilka dni jeszcze przy sobie zatrzymać. Jedź, zezwalam. Jednakże pamiętaj, że masz być ostrożna. Nie rób niczego, czego i przy mnie byś nie zrobiła. Jeszcze dziś wieczorem napiszę list, który osobiście przekażesz diukowi Edwardowi zaraz po przyjeździe do jego zamku.

Lady Carmen aż podskoczyła z radości.

– Dziękuję ci, stryju najukochańszy. Dziękuję ci z całego serca.
 – Ucałowała wicehrabiego w głowę, po czym dodała w pośpiechu:
 – Raczcie wybaczyć mi, najmilsi goście, ale muszę bieć się spakować, by rano być gotową do wyjazdu.

Lady Carmen wykonała szybki, acz pełen uroku ukłon w naszą stronę, a następnie wybiegła z sali. Nim zniknęła w korytarzu, omal dwa razy nie upadła, potykając się o własną sukienkę.